



PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIEĆ.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie

Kwartalnie. . . . . rs. 1.  
Za odoszenie do domu kwartalnie kop. 10.

Na prowincyi

Kwartalnie. . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:

Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 16 Lutego  
(28 Lutego) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:

We Lwowie i Krakowie

Kwartalnie zlr. 2. Na prowincyi zlr. 2 cent. 30.

W Poznaniu

Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Treść: Fragment (wiersz). — Z Tygodnia. — Tyle lat! z cudzego opowiadania spisała T. Prażmowska. — Hygiena. — W złą godzinę, przez autorkę „Molly Bawn,” przekład z angielskiego M. G. (dalszy ciąg). — Piśmiennictwo (Szesnastoletnia uczennica). — Z chwili bieżącej. — Ogłoszenia. W dodatku: Poświęceni, przekład z francuzkiego, część druga (arkusz 9).

## FRAGMENT.

Skrzę się gwiazd roje; wieczór jasny, cichy,  
Zawisł nad światem, jak anioł marzenia,  
Przez rozchylone jaśminów kielichy  
Płyną w przestworza balsamiczne tchnienia,  
A czasem drzewa szumią liśćmi swemi,  
Gdy wiatr wiosenny przelata po ziemi.

\* \* \*

Wokoło pełno anielskiego świtu;  
Wieczorny pacierz słowik szle w niebiosy,  
Na szmaragdowych łąkach z aksamitu  
Dyamentami lśniąca drzemie rosa.  
W takiej świątyni cudów i rozkoszy  
Błądę samotna...

...Tu nikt mi nie ploszy

Tej promienistej ptaszyny marzenia;  
Wracam więc duszą smętną, roz tęsknioną,  
W różową przeszłość. Lubyh dni wspomnienia  
Znowu rozkosznie kołyszą mi łono,  
Po bladej twarzy łza gorąca płynie,  
Jak w tej pamiętnej, szczęśliwej godzinie.

\* \* \*

Tęczyowych wspomnień otoczona czary,  
Zda mi się, słyszę dźwięk twojego głosu,  
Szukam twej dłoni, lecz zwodnicze mary  
Giną przedemną wśród świata chaosu,  
Więc ciężkie łzami zamykam powieki,  
Ścigając myślą cień szczęścia daleki.

\* \* \*

Oh! czyż już nigdy, prócz burz i zawiei,  
Promyk pogody nie załśni w błękitcie  
I nie ukaże kędy ster nadziei,  
Coby mię w nowe wprowadziła życie?  
Czyliż już nigdy z głębin mego ducha  
Nie pierzchnie zwątpień noc czarna i głucha?

\* \* \*

Wszakże, o Boże, w każdej nowej wiosnie,  
Wracasz przyrodzie co jej wzięła jesień,  
Kwiaty do słońca wdzieczą się radośnie,  
Dzwonią piosenki ptaszczych uniesień,  
Czemuż dla ludzi, Ojczy nasz i Panie,  
Nie świta nigdy szczęścia zmartwychwstanie?

M. Chłuska.

## Z TYGODNIA

Ponieważ przeciętny Warszawianin zna przynajmniej dwie nadobne panie, które pod pozorem zabaw wprowadzają kieszeń jego w ustawiczną filantropijną zasadzkę, sądzę więc szanowni a wiecznie „karotowani” koledzy, iż zyskam wdzięczność waszą, podając tu nową formę tej dobroczynnej przemocy, jaką nad nami czarodziejki świata wywierają. Nie znaczy to bynajmniej, aby ich rządy sprzykrzeć się miały komukolwiek. Broń Boże! I owszem, otwieramy chętnie kieski nasze, patrząc z rozręwnieniem (czytaj: ze złe tajonym gniewem) jak ziemskie anioły zawartością chudych tych portmonetek ocierają łzy niedoli. Idę dalej nawet: ilokrotnie odbieram zimą liścik, delikatnem piśmem zaadresowany, tyle razy wiem zgóry, iż mieści on bilety na bal, raut, wieczór, wieczorek, gwiazdkę, choinkę, kwestę, jednym słowem na coś, za co zapłacić będę musiał.

I... i rozdarłszy tylko trochę nerwowo kopertę... płacę później. Ile razy zaś ładna kobieta zapyta mnie w karnawale:

— Pan ma już bilecik na bal wśród fiołków?

Odpowiadam z galanterją:

— Pani, mam już trzy bilety i dlatego — tu ukłon głęboki, — proszę panią o czwarty.



Zjednywa mi to rozkoszny uśmiech z nową kartą wejścia. Gdy jednak z tych ostatnich uzbiera się czas album, gdy dla otarcia łez matkom, sierotom, podrzutkom, dla podtrzymania szwalni, kolonii, szpitala i całej setki przeróżnych instytucyj, każą mi, jak polnemu konikowi, pół życia przesakać, przyznaję iż czasem głucha wściekłość mnie porywa.

A że ten bunt utajony musi nie w jednej fermentować duszy, chcąc więc, jako wierny poddany, utrwalić wszechwładzę rządów pięknej połowy nad nami—bo nam nie o istotę rzeczy, lecz o formę jej chodzi i podnoszę tu projekt podany przez jednego z korespondentów petersburskich.

Oto panie, zajmujące się tam filantropią, postanowiły wprowadzić podczas postu rodzaj płatnych wieczorów literacko-artystycznych. Będzie to zawsze odmiana rautu, ale zrywając z szablonem, stanie się nader urozmaiconą i ciekawą. Zamiast bowiem samych popisów muzycznych, odczytywać mają z estrady, ostatnie a niedrukowane swe utwory, znani poeci, dramaturdzy i noweliści. Wybór całości lub ustępu od nich tylko zależy, lecz wzajemian wybór autorów młodych, wnoszących do literatury nową jakąś ideę, lub nowy talent w artystyczną strojny szatę, wybór jednym słowem sił, które na drodze tej prędzej się mogą dać poznać szerokiej publiczności, zawisł od komitetu zabaw jedynie.

Kolonia nasza w stolicy nadnewskiej jest stosunkowo za małą, aby wytwornych piór do wieczorów takich dostarczyła. Projekt jednak, przeszczepiony tutaj, do największego ogniska polskiego życia umysłowego, mógłby — jak sądzę — szalone mieć powodzenie. Nie wątpię bowiem, iż wieczór podobnie urozmaicony, a pociągający kilku głośniami nazwiskami, więcej przyniosłby uczestnikom swym korzyści i przyjemności nad wątpliwe bale wśród róż, narcyzów, hyacynthów i całej oranżeryi nawet.

Podnoszę projekt; inicjatywa zaś w wykonaniu go, oraz w uszlachetnianiu stopniowem (lecz nie w obniżaniu) poziomu naszych zebrań towarzyskich i ogólnej umysłowości nie do mnie i nie do prasy należy. Rzecz to już pań filantropów, dających przecież tak często firmę swą na bezmyślne zabawy.

Jedna z tych, która dzięki środkom i potężnemu indywidualnemu talentowi, mogła myśl powyższą we właściwe przybrać kształty, zamknęła właśnie na zawsze powieki. Zmarła w mieście naszym Józefina z Reszków Kronenbergowa, słynna przed kilku laty śpiewaczka najpierwszych scen europejskich. Zamknawszy się w zaciszu domowym, małą w życiu stolicy grała rolę. Niemniej Warszawa wspomina z wdzięcznością, nad świeżą jej mogiłą, gotowość i obywatelską ofiarność, z jaką niedawno oddała pracę swą i talent w całym szeregu przedstawień, na otarcie właśnie łez ubóstwa i niedoli.

Druga śmierć mniej już miejscowe obchodzi koła, a jednak zaznaczamy ją tu z żalem głębokim. Zofia Kowalewska bowiem, o której zgonie w Sztokholmie doniosły niedawno telegramy, wyjątkową była postacią wśród pionerek, walczących o wyższe wykształcenie niewieście. Całe też życie jej stwierdza w sposób niezbity, jak mylnem jest dowodzenie, iż kobiety nie pracują nigdy dla nauki i w imię nauki tylko, lub że niezdolne są do studiów samoistnych w dziedzinie wiedzy ścisłej. Kowalewska w 21 roku życia napisała już rozprawę matematyczną, przechodząc do podręcznika wykładów naukowych, i uniwersytet sztokholmski powołał ją w parę lat później na katedrę matematyki wyższej. Odtąd profesor Kowalewska nie ustaje w pracy. Akademia paryzka przyznaje jej

za jedno z dzieł nagrodę 5,000 fr., akademia petersburska zaszczyca ją tytułem członka-korespondenta. Młoda też, trzydziestokilkuletnia kobieta, umierając przedwcześnie, zostawia imię swe zapisane nazawsze w rocznikach wiedzy ścisłej.

A co, panowie sceptycy, czy umysł niewieści uczy się tylko, by gonić za chlebem, za karyerą? Czy w najwyższej swej genialności umie jedynie *odtworzyć* to, co inni *stworzyli*?

Takiego jednak przekonania są wszyscy ci, którzy w grze Modrzejewskiej widzą ostatni wyraz uzdolenia niewieściego. Zachwyt też dla talentu wykonawczego wytworzył zapewne dziwną gorączkę, z jaką, puszczając w niepamięć wszelkie sprawy, śledzono w zeszłym tygodniu przebieg procesu o zabójstwo Wisnowskiej. Dziś, gdy sprawiedliwości stało się zadość, możemy przejść nad smutną tą zbrodnią do porządku dziennego, żałując jedynie, że nam prasa brukowa tak wiele skandalem podobnym zajmowała czasu.

Czy nie ważniejszą bowiem, nad wstętnę szczegółów tych sprawozdań procesowych, jest wiadomość, która czasem wielu naszym dworom i dworkom może znaczne źródło dochodu zapewnić? Nieznaczną ona napozór, a jednak bardzo ważną.

Oto ponieważ hodowla jedwabników, przynosząca takie olbrzymie źródło bogactwa na Południu, nie dawała się zaprowadzić w krajach północnych na szeroką skalę, wskutek braku drzew morwowych, które u nas z trudnością rosną, jeden z uczonych doszedł do wyhodowania nowej odmiany jedwabników, żywiących się wyłącznie liśćmi wężymordu. A że roślina ta na każdym gruncie daje się uprawiać i w dzikim nawet stanie obficie podobno rośnie, za lat więc kilka panie naszych dworów wiejskich znajdą przy dobrej woli, pole do pracy gospodarczo domowej, połączonej z poważnym źródłem dochodu, jaki jedwabnictwo innym krajom zapewnia.

Gdy mowa o kokonach, z piersi niejednego obywatela Warszawy, musi ulatywać westchnienie:

— Ach, czemuż się nie urodziłem urzędnikiem Tow. kredytowego?

Do kokona bowiem, oplątującego nierozzerwalnymi niemi ofiarę swą, zaliczyć należy lichwę, która taką siecią otoczyła pracowników instytucji tej, że aż zarząd postanowił wyasygnować 50,000 rs. na spłacenie ich długów. Każdy więc otrzyma pożyczkę 6 proc. z prawem amortyzacji wciągu lat dziesięciu, przyczem specjalna komisja układa się z wierzycielami, skupując weksle lichwiarskie jak najtaniej, a wrazie śmierci urzędnika, Towarzystwo traci sumę zawieszoną i od spadkobierców zwrotu jej wymagać nie ma prawa.

— Ach, czemuż nie jestem pracownikiem Towarzystwa kredytowego! — westchnął obok mnie, składając gazetę, jakiś stary emeryt. To samo, niewypowiedziane tylko głośno, życzenie, wyczytałem w oczach modnego eleganta. Żal mi się zrobiło ludzi, z którymi od lat wielu już w tej samej cukierni czytuję dzienniki. Pomny też aforyzmu Dickensa, że „są kłamstwa, na których człowiek światłanemi skrzydłami wznosi się ku niebu,” jałem im opowiadać, iż mam poufną wiadomość, jakoby wszystkie instytucje warszawskie przyjęły za zasadę także samo ratowanie pracowników swych w potrzebie.

Oczy ich, te biedne stroskane oczy, zajaśniały radością.

— Jakto, dadzą nam pożyczki, z dziesięcioletnią spłatą?

— Tak słyszałem.

— Czy i redakcyje będą się trzymać tego programu? — rzucił ktoś złośliwie.

Wspomniawszy owe „światlane kłamstwa, unoszące nas ku niebu,” odparłem bez zająknięcia:

— Podobno.

I nie pożałowałem tej niewinnej mistyfikacji. Kółko bowiem całe, pod wrażeniem nadziei, dziwnie się rozpromieniło. Ktoś na prawo projektował, iż wolny od kłopotów, będzie — mającą się otworzyć w Maju kolejną konną do Czerniakowa — wozik co niedzielę wiał swe dzieci na zamiejskie wycieczki. Inny zapewniał z głębokim przekonaniem, że teraz dopiero zacznie „robić pieniądze,” a zebrawszy ich dużo, zapisze 120,000, jak Tadeusz Łęczycki, zmarły świeżo pod Neapolem, na dom podrzutków. Wszyscy, z ubyciem troski, myśleli o biedniejszych, o nieszczęśliwych, stawali się lepszymi. Ja zaś, ja, wysunawszy się z cukierni, zanim bańka ta tęczowa prysnie, marzyłem, iż może projekt ów urzeczywistni się czasem, a usta me nuciły równocześnie mimowoli.

„Chociaż to życie idzie jak po grudzie,  
Jak mi Bóg miły, nieźli są ludzie.

Anatol.

## TYLE LAT!

Z CUDZEGO OPOWIADANIA SPISAŁA

T. Prażmowska.

 przed kilku laty zaprosiła mnie do siebie na miesiąc letniego wypoczynku daleka krewna moja, panna Ludwika Dołężanka, stara panna, niestety, ale pomimo to interesująca i sympatyczna. Powierzchność jej nawet miłe czyniła wrażenie: postawna, szczupła, gibka, z wdzięcznym na ustach półuśmiechem, ze smętnem lecz pogodnem spojrzeniem oczu, których szafir spiło już pięćdziesięcioletnie blisko przyglądanie się światu, pełna prostoty i godności, wyglądała na to, czem była wistocie, na osobę pogodzoną z życiem i dzielnie stawiającą mu czoło, choć wiało od niej smutkiem cichym, przez lata ukołysanym, przez dumę w głąb serca wepchniętym, przez pracę zagłuszonym cierpliwie. Z historii jej życia, niedostatecznie w szczegółach mi znanej, wiedziałam, że miała do niego powody, ale nie mówiła o nich nigdy i ja też nie śmiałam dotykać pytaniami zabliznionej już rany serca.

Od lat kilkunastu straciwszy ojca, mieszkała z dawną ochmistrzynią swoją, sędziwą już dziś staruszką, w rodzinnym domu swoim, wśród ogromnego ogrodu, szumiącego wspaniałymi lip i klonów alejami, wonnego od bzów na wiosnę, od róż i akacyj w lecie, a jesienią od rezedy i dojrzewających na drzewach owoców.

Piękna to była i wygodna rezydencja, położona tuż pod jednym z większych miast gubernialnych, a urządzona ze staraniem i smakiem świadczącym, że właścicielka dba o uprzyjemnienie sobie życia i, stosunków ze światem nie zerwawszy, umila swoje samotność czem może. Mimo to przychodziło mi nieraz na myśl, że ta samotność musi czasami dawać jej się czuć boleśnie, ale nie skarżyła się na nią nigdy. Zapełniała ją sobie pracą, a w braku bliższych węzłów i obowiązków rodzinnych, stworzyła



je sobie sama, otaczając się gromadką dzieciaków, nędzarzy, kalek dla których prawdziwą była opatrnością. Czynna, energiczna, w niesieniu pomocy drugim niestrudzona, uczyła abecadła i pacierza, moralności i porządku, szyla grube koszule, rozdała półbochenki razowca, szczepiła wyborowe gatunki owoców, powiększała bogatą kolekcją róż sztampowych, zajmowała się domem i zdawała się niczego nie pragnąć, a nawet nie tęsknić już za niczem.

Była jednak w życiu jej epoka dowodząca, że innej pragnęła dla siebie przyszłości. Lat temu trzydzieści blisko zaręczoną była Ludwika i pewną jestem, że musiała kochać narzeczonego całą siłą tkliwej, prostej, czysto kobiecej natury. Ale lata te były niesprzyjające marzeniom o cichem szczęściu domowym. Pana Kazimierza porwała także zawierucha i poniosła niewiadomo gdzie. — Na Zachód — pocieszała jedni, — na Wschód — mówili drudzy, ale nikt nie umiał powiedzieć nic pewnego, a i zwłok nikt także nie widział. Żył jeszcze ojciec Ludwika i wszelkich dokładał starań, aby się dowiedzieć o losie przyszłego zięcia, napróżno! Przepadł gdzieś bez śladu; nie wiadano czy żył, czy umarł.

Po dwóch czy trzech latach daremnego oczekiwania, Ludwika postanowiła nigdy nie zdjąć żałoby. Usunęła się od świata, oddała się dobroczynności, pielęgnowała starość ojca, po śmierci jego odbyła daleką podróż, a wróciwszy, odzyskała zachwianą tyloma cierpieniami równowagę i rozpoczęła tryb życia, który z małemi odmianami dzisiaj jeszcze prowadziła.

Czas upływał, piękne ciemno-blond włosy przyspruszyła siwizna, bławatkową barwę żreń zmywały łzy, pocichu może wylewane, a nieobecny nie dawał znaku życia i nie wiem, czy w najśmielszych przypuszczeniach zamajaczyć mogła komu nadzieja powrotu jego, lub nawet jakiegokolwiek o nim pogłoski.

Ludwika nie mówiła nigdy o narzeczonem; zdawaćby się mogło, że zapomniała o nim, gdyby nie ten strój czarny, przez tyle lat z wdową prostotą noszony, gdyby nie zaręczynowy szafir nigdy z palca niezdjęty, gdyby nie wisząca w jej pokoju fotografia przystojnego mężczyzny, w którego młodej, bardzo jeszcze młodej twarzy uważny fizyognomista wyczytałby brak siły charakteru i męskiej prawdziwości. Prawda, że gdyby się byli pobrali, Ludwika miałaby jej za dwoje.

Czas upływał mi przyjemnie w jej domu. Otoczona poważaniem ogólnem, szanowana za ciche meztwo i cichą ofiarnością swoją, imponująca jednym powagą i cnotą, drugim majątkiem i położeniem towarzyskiem, nie gardziła stosownymi dla jej wieku rozrywkami i chętnie bywała wszędzie, gdzie wypadało ukazać się osobie jej wieku i stanowiska. Widywaliśmy więc wszystkich, kogo w mieście i okolicy widywać było warto, a gdy byliśmy same, nie brakło nam przedmiotu do rozmowy. Mówiło się o wielu, wielu rzeczach, o sprawach i poglądach na nie, o ludziach i o wszystkim co ludzkie, tylko żadnych kwestyj osobistych nie dotykałyśmy nigdy w rozmowie.

Ranki upływały jej zwykle na pełnieniu dobrowolnie przyjętych obowiązków świeckiej siostry miłosierdzia. W osobnym, na ten cel przeznaczonym pokoiku, w „biurze” swoim, jak mawiała sama żartobliwie, przyjmowała corano każdego, kto jej pomocy potrzebował. Czasami z koszyczkami i węzłkami różnemi wyjeżdżała do miasta, gdzie ekwipaż jej równie był znany w nędznych zaułkach, jak w eleganckich dzielnicach, a podczas jej niebytno-

ści dotrzymywała mi towarzystwa ochmistrzyni Gruszecka, z dziecięcą jeszcze, poufałą pieśczołliwością „Grunia” nazywana przez Ludwikę. Ośm-dziesięcioletnia przeszła staruszką, daleka krewna Dołęgów, wychowywała niegdyś Ludwikę, którą matka odumarała w niemowlęctwie i fanatycznie przywiązana do swojej wychowanki, dziś jeszcze nie przestawała boleć nad jej losem. Od niej to dowiedziałam się szczegółów tego dramatu, który z niezamężnej uczynił wdowę, wiary dochowującą utracenemu.

— Bo to widzi kochana pani—prawiła staruszką, poprawiając okulary, przy pomocy których nieustannie nabierała gubiące się „na złość” oczka pończochy — Ludwinia od dziecka była zawsze taka jak dzisiaj. Proś, łaj, perswadowuj, ona swoje, zatnie się i milczy, jak niema. Całe szczęście, że dobrą naturę miało dziecko i nie zachciewało jej się nigdy nic zdrożnego, bo inaczej niewiadomo, jakby sobie z nią poradzić. Tak też było i z owym kochaniem nieszczęsnem. Nieboszczyk pan sędzia brał na Litwie spadek po stryju swym i wyjeżdżał tam na kilka miesięcy, a że to Ludwisia dorosła już była, dziewiętnastoletnia panna, więc brał ją z sobą ojciec sprezentować rodzinie jedynaczkę. Wiadomo, Litwa, gdzieś aż pod samem Wilnem, ogromny kawał drogi od nas, kolei wówczas nie było, myślałam też, że mi wywożą dziewczyninę na drugi koniec świata i płakałam, jakbym ją na stracenie dawała. Ona wybierała się w drogę z radością, a wciąż przekomarzała się ze mną, że znajdzie tam sobie jakiegoś Litwina i powróci do mnie z zaręczynową obrączką na palcu.

— Co też Ludwinia wygaduje! gniewałam się na nią, bo to trzeba pani wiedzieć, że to ja z dziada, pradziada koroniarka i tutejszych ludzi tylko lubię, — czy to u nas w sąsiedztwie, a choćby i dalej trochę, nie znajdzie słusznych kawalerów, żeby męża aż zpod Wilna przywozić? Jaki on tam być musil! Boże uchwaj!

— Zobaczysz Grunia, jaki będzie—przekomarzała się swawolnicą. — W kącie przed nim Podlasiaki, a choćby nawet i Mazury.

I zaśpiewała wesoło:

„Będzie mąż, będzie król,  
A ja mu królowa, —  
Serce dam, wianek dam,  
Niech oboje chowa.

Włoży nam, włoży książkę  
Dwie obrączki złote, —  
Mąż mi pan, mąż mi król,  
Proch mu zprzed nóg zmiotę.”

Ruszyłam tylko ramionami, bo nie tak to bardzo umiała ona prochy zmiatać zpod nóg komu, i odmówiwszy na jej intencję koronkę do Opatrzności Bożkiej, odprowadziłam moich podróżnych do pierwszego popasu, przeżegnałam Ludwinę krzyżem świętym, no! i puściłam w drogę. Z ojcem przecie jechał!

Przyszedł list jeden, drugi, Ludwinia donosiła, że jej się na Litwie podoba, że się bawi, że poznała mnóstwo przyjemnych ludzi, ale „króla” nie znalazła dotychczas. I tak żartem, żartem, jakoś weszło jej w zwyczaj wspominać zawsze o tym królu, zupełnie jakby już za nim tęskniła i wyglądała go niecierpliwie.

Raz coś ze dwa miesiące nie było listu i zaczynałam już być niespokojna, czy aby, broń Panie Boże, nie chora. Aż wreszcie przyszedł list, daleko dłuższy niż zwykle: pisze mi Ludwisia to i owo, niby to

podawne, a jakoś zupełnie inaczej, niż mnie zaraż tknęło coś w serce, że inna już dziś ona, niż dawniej. Dopiero na ostatniej stronie, na samym brzeжку ostatniej ćwiartki, stała w przypisku najważniejsza z całego listu wiadomość: „Gruniu kochana, złota, najdroższa, pomódl się za mnie z całego serca, bo... bo zdaje mi się, że znalazłam „króla.” Później więcej ci o nim doniosę, a teraz dla uspokojenia powiem to tylko, że nie Litwin, ale z naszych stron, zpod Sandomierza.”

— Ach, pani moja, nigdy może w życiu, nawet wówczas gdy sama szłam do ołtarza, nie modliłam się tak szczerze, tak gorąco. Wiadomo przecie, co to pożycie z mężem: „niewolnica albo połowica, bogdanka albo poddanka” a czy tak, czy owak, zawsze to nie żarty i nie przelewki, jeno święty związek małżeński. Więc też lęk mnie brał okrutny i po nocach sypiać nie mogłam, wciąż myśląc o tym królu mojej Ludwisi. Jezu najśłodszy! — wzdychałam — niech aby nie będzie z nim nieszczęśliwa! i zaraz się ofiarowałam suszyć przez resztę życia piątki na jej intencję.

— I suszysz je pani dotąd? — spytałam, ciekawa, czy w prostej, pobożnej duszy nie podniósł się bunt rozpacz, gdy ujrzała swą prośbę niewysłuchaną a obawę nieszczęścia ziszczone.

— A jakże, pani moja, a jakże! Co się Panu Bogu przyrzekło, tego już odwołać się nie godzi. Suse, zawsze suse... tylko że to Pan Bóg wszystko inaczej obrócił, więc teraz powiadam ci, że na intencję, żeby pocieszył Bóg Ludwinę.

Westchnęła, zdjęła okulary, przetarła je starannie i znowu nabierać oczka zaczęła.

— Następny list — mówiła dalej — przyszedł we dwa może tygodnie. Po słowie była już Ludwisia, jak pisała.

— I bardzo zakochana? — wtrąciłam z uśmiechem. — Powtórzyła to pewnie w liście z dziesięć razy?

— Boże broń! — oburzyła się staruszką — a gdzieżby to panna skromniechowana wdawała się w jakieś *ach-y* i *och-y*, jak heroina romansu! Nie, nie pisała w liście że zakochana (ostatni ten wyraz wymówiła Grunia z ironicznym, mnie karcącym przycinkiem) ale to pewna, że musiała oddać serce panu Kazimierzowi, skoro przyrzekła być mu żoną. Wiedziała, że małżeństwo to sakrament i że krzywo przysięgać się nie godzi, a i ja też wiedziałam, że do końca życia dotrzyma danego słowa i nigdy serca nie zmieni.

I dlatego tak się we mnie trwożyło serce, tak mi pilno było zajrzeć temu człowiekowi przez oczy aż na samo dno duszy, bo choć stara i prosta ze mnie kobieta, zawsze przecie na zacności ludzkiej się rozumie.

— Jakże się pani podobał pan Kazimierz?

— Nie widziałam go nigdy w życiu. W końcu jakoś Października odbyły się owe zmówiny i zaraz potem, jak mi pisała Ludwisia, wracać mieli do domu i tutaj odprawić zaręczyny, bo pocziwie dziecko chciało błogosławieństwa mojego. Zaczęłam więc zaraz przygotowywać wszystko do ich przyjazdu i lada dzień spodziewałam się powrotu. Tymczasem tam, zupełnie jak tutaj u nas, w Listopadzie lać zaczęły dzień po dniu deszcze, a po ślocie i roztopach chwyciły nagle mrozy i zrobiła się gruda taka, że ani rusz przejechać po niej. Dopiero w Grudniu usłała się sanna wyśmienita i powróciło mi dziewczę moje, ale p. Kazimierz nie towarzyszył wracającym. Nie mógł! Kochał... pewno że kochał Ludwinę, ale nie ją jedną kochać mu należało i za-trzymał go obowiązek... Obiecywał przyjechać póź-



strzegłszy, że bawił całą godzinę. Zerwał się z krzesła, lecz ona nie chciała słuchać nawet o jego odejściu przed śniadaniem.

— Będę sama zupełnie — zaczęła mówić z żałosną miną. — Pana Cardena niema w Londynie, a ojczulek nie wraca nigdy do domu przed siódmą. Będzie mi naturalnie smutno, lecz gdybyś pan zechciał zostać... byłoby to wielką ulgą. Wszak prawda, że pan zostaniesz? O! jak to pocziwie z pańskiej strony!

Istotnie był tak dobry! Zgodził się łaskawie ażeby pozostać, czując że niema w świecie potęgi, którąby zdołała wyciągnąć go z miejsca, dopóki ona życzyć sobie będzie jego obecność. Wtem rozległ się odgłos gonga i pani Carden, wzięwszy Chin-china na rękę, wskazała gościowi drogę do jadalnego pokoju.

\* \* \*

Przez trzy miesiące, jak wiadomo, nawet po zjawieniu się na scenie pana Disneya, wszystko szło dobrze w domu Cardenów. A potem chmury zaczęły się zbierać i nadciągły. Nie było na to rady. Nadciągnęły nagle. Oblicze Cardena stało się jeszcze poważniejsze, jeszcze posępniejsze niż przedtem, a ci, którzy go znali dobrze, uważali, że pewna obawa przebiegała spod tej posępności.

Co się stało? Czy młoda żona w czym zbłądziła? Stare kwoki zaczęły potrząsać głowami i robić niewyraźne wzmianki o zazdrości, a kuzynka, która kupiła ów sławny kapelusz obrócony na kołyskę dla białych myszy, szepnęła w kąciку:

— Otello!

Dodawał barwy tym uwagom szczegół, że Carden w ostatnich czasach nie spuszczał z oczu żony, towarzyszył jej wszędzie i ściagał ją bezustannie wzrokiem, w jakimkolwiek znajdowała się otoczeniu.

Dzieweczka była widocznie zaniepokojoną tym nadzorem i wyraz jej twarzy zdradzał silne zdenerwowanie. Po pewnym czasie rozeszła się wieść, że Cardenowie nie bywają nigdzie. Usunęli się prawie zupełnie od towarzystwa i ludzie zaczęli już przebąkiwać, że on sam zabronił żonie przyjmowania jakichkolwiek zaproszeń. Był to doprawdy mściwy Otello! Zaczęto nawet zastanawiać się, czy się posłuży w danym razie poduszką, czy sądem przysięgłych, a wszyscy czuli, że ten ostatni sposób jest zbyt bezbarwny.

Pan Grautham był zaniepokojony i wspomniawszy o tem Zuni, lecz niewiele się dowiedział. „Geoffrey nie miał ochoty bywać teraz w świecie, — powiedziała, — nie wie sama dlaczego, lecz tak jest pewnością, a ona nie chce bywać sama bez niego.” Powiedziała to wszystko z wielką prostotą, jak ktoś mówiący prawdę, lecz ojciec jej nie uwierzył. Czuł, że coś przed nim ukrywa. Jej błada twarzyczka przejmowała go obawą i napadały go chwilami straszne niepokoje na myśl, że przyzwolił na to małżeństwo. „Maj i Grudzień,” brzmiało mu wciąż w uszach. Co czynić, jeżeli poznała zapóźno swoją omyłkę i żałuje, że zaślubiła człowieka dwa razy od siebie starszego?

(Dalszy ciąg nastąpi.)



Szesnastoletnia uczennica. \*)

„Zawiele uczą się dzisiaj dziewczęta, a to *zawiele* nietylko jest zbyt, ale w dodatku i szkodliwym, bo zajmuje miejsce tego, co jest istotnie potrzebnem.”

Temi słowy rozpoczyna Legouvė, autor chlubnie znany z prac traktujących o filozofii moralnej, ostatnią pracę swoją, wyłącznie dziewczętom poświęconą. Wychodząc z założenia, że dzisiejszy system edukacyjny, przeciążający uczennicę, więcej pamięć z bogactwa, niż myślenie uczy, a o wykształcenie charakteru nie dba wcale, Legouvė uważa, że niezbędną jest rzeczą wypełniać powstałe ztąd braki i chcąc zadość uczynić tej potrzebie, przechodzi z „szesnastoletnią” niektóre przedmioty, znane jej już ze szkolnego wykładu. Przechodzi je wszakże poswojemu, ucząc przedewszystkiem szukać zawartej w nich zawsze nauki *moralnej*, której poznanie i przyswojenie darzy nas mądrością życia, tą prawdziwą, nie z książek, lecz ze zrozumienia ich treści czerpaną.

„Kobieta — powiada — wychowywana dla nieznanego przyszłości i nieznanego mężczyzny, powinna być uzbrojona siłą wewnętrzną, którąby jej w każdym wypadku życia przydać się mogła. *Wewnętrzna* zatem jej istotę kształcić potrzeba, tam rozpalili ogień niewygasły i światło niczem niezgaśnione. Taki jest, nie inny, ostateczny cel udzielanych jej nauk, bo nauczycielem-mistrzem tego tylko nazwać się godzi, czyją lekcją dopełnia po lekcji praca myśli, kto przystępuje do wykładu z zamiarem pozostawienia w umyśle słuchaczy czegoś, co je przeniknie do głębi, co z nimi żyć, z nimi wzrastać i rozwijać się będzie. To tylko nauką jest prawdziwą, co przetrwa porę pobierania nauki, nauczyć się bowiem, zrozumieć, zapamiętać, to wiele wprawdzie, ale to jeszcze nie wszystko.

... „Kobieta powinna umieć wystarczyć samej sobie, powinna móż rozumieć myśli męża, również jak i to, czego dzieci jej kiedyś uczyć się będą.”

Trzeba zatem nauczyć ją myśleć i czuć, to jest pojmować i uwielbiać wszystko, co w dziejach, w piśmiennictwie, w życiu, w całym wreszcie świecie moralnym zasługuje na uwielbienie, a „ogień niewygasły” tem usilniej rozniecać należy, że wychowanie dzisiejsze, rozmyślnie przytłumiając wyobraźnię, czyni z dziewcząt istoty chłodne, do krytyki usposobione, sceptycznie zapatrujące się na wszystko prawie, co przejmowało zapalem serca matki.

Taki sobie program postawiwszy, nauczyciel-filozof, zamiast prowadzić systematyczny wykład historii na przykład, lub geografii, rozmową tylko uczy dziewczętkę znać kraj swój i przeszłość jego dokładniej, niż znała je dotąd, chociaż posiada w pamięci świeżo wyuczoną nomenklaturę departamentów, rzek głównych, dopływów, dat, imion, genealogii i t. d. Po takiej lekcji Francya staje się dla młodziutkiej córki swojej czemś, jak sama przyznaje,

„wyraźniejszym, więcej żyjącem, więcej do żywej istoty podobnem.”

Cel zatem nauczania dopięty tem łacniej, że nadprogramowa edukacja wychowanki „lyceów” trzeciej rzeczypospolitej rozpoczyna się bardzo rozumnie, bardzo pedagogicznie lekcją wstępną .. o „roli dzieci w poezji.” Wyziębione serduszek, zanikłe uczucie poetycznego piękna muszą rozgrzać się i wstrząsnąć w zetknięciu z tem, co w życiu jak i w poezji uśmiechem jest i wdziękiem, z dzieckiem, które po mistrzowsku wprowadza na scenę Rasyn, które opiewa Hugo, a Lamartine modlitwy uczy. I dopiero czarem poezji myśl i ducha uniosłszy „nad poziomy,” daje mistrz dziewczęciu piękną a mądrą naukę miłości kraju, w nadziei, że teraz już nie padnie na grunt nieprzygotowany.

I wogóle, uważając postaremu poezią za dusz mistrzynię, Legouvė często do niej powraca i z wielką znajomością rzeczy korzysta z bogatego materiału, jaki mu ona podsuwa. Rozprawa o estetyce na przykład jest niczem innem, jak analizą „dwóch arcydzieł” (Polyeukta i Atalii), których piękności wykazuje, porównywa i rozumieć je uczy, ucząc przytem rozróżniać treść od formy i każdą z nich oceniać, jak należy.

W Kartezjuszu zlekka dotyka filozofii, ale że strawa to zaciężka na młodziutki umysł, w myśleniu jeszcze niewycwiczony, więc też rozdział zaczyna się ostrzeżeniem: „Postanowiłem sobie mówić z tobą nietylko o tem, co rozumiesz, ale i o tem co rozumieć będziesz. Nauczanie jest przedewszystkiem siejbą; w umysły dzieci i młodzieży rzuca ona pojęcia, niby nasiona, które się ziemi powierza. Ziarna te nie zaraz wejdą, czasu potrzeba, aby korzeniami chwyciły się ziemi i łodygą, liściem, kwiatem, owocem z niej wyszły. Długo czasem czekać na to potrzeba, im później jednak zakwitną, tem bogatszy plon wydadzą.” I krótko, przystępnie streściwszy system wielkiego myśliciela, obszernie zato mówi jej o nim samym, wzbudzając w niej zajęcie dla człowieka, zanim ją zajmie to, co pracą myśli wytworzył.

„Wielkoduszność i dobroduszność” to traktat ich psychologii, objaśniony przykładem uczącym, że najbardziej olśniewające postacie historyczne oceniać należy przedewszystkiem podług ich wartości moralnej.

„...Jest w dziejach postać olbrzymia, mąż dla którego historyk — i to jaki jeszcze historyk! — mnie ma, że określenie „człowiek” nie dosyć go jest godne. Nazywa go zatem ciągle „godnym podziwu śmiertennikiem” „geniuszem” a słowo geniusz tak zdaje się stworzonym dla Napoleona, że pod piórem Thiers’a wcale nie razi amfazą. Wistocie wielki to geniusz jako wojskowy, wielki jako organizator, wielki jako prawodawca, wielki siłą woli, wielki wymową, wielki odwagą, a przecież przejdźmy pamięcią jego czyny, powtórzmy sobie jego słowa, odczytajmy korespondencją, nie znajdziemy nigdzie nic, coby dowodziło, że wielki ten człowiek miał duszę dobrą, piękną i wielką.”

„Odwaga kobiet,” „Postacie dziewic u Moliera,” „Moralność Lafontaine’a,” „Kornel i Szekspir,” „Udział kobiet w rozwoju umysłowym XVII wieku,” oto tytuły rozdziałów, z których każdy roztrząsa kwestyą etyczną, literacką lub naukową w sposób tak przystępny i zajmujący, że tępa chyba lub niechętną musiałaby być uczennica, którąby z podobnych lekcji nie odniosła pożytku moralnego i nie pojęła, jak niezbędnem są one dopełnieniem nabytych przez nią wiadomości. Pełno tu trafnych, doświadczeniem wypróbowanych wskazówek do pracy nad sobą, pełno nauk moralnych, często wznio-

\*) „Une élève de 16 ans,” par Legouvė.



słych, zawsze praktycznych i umiejętnie przewodniczących kobiecie tak na wyżynach duchowego życia, jak i na poziomie codziennego bytu.

Jednym z takich właśnie jest rozdział, któremu autor dał zagadkowy trochę tytuł: „Najlepsza przyjaciółka młodych panienek.” Ma się rozumieć, że każdej córce najpierwej przychodzi na myśl, że przyjaciółką taką jest matka. Uznając trafność tej odpowiedzi, objaśnia jednak autor — moralista starej daty — powiedzą może niektórzy, że tym razem nazwał tak... igłę! Od mitycznej Penelopy, aż do robotnicy dzisiejszej, biednej szwaczki igłą na chleb powszedni pracującej, przedstawia dziewczęciu cały szereg postaci kobiecych, dzierzących w palcach tę towarzyszkę wierną, przez tyle wieków niedostępną, a uosabiającą to, co w życiu najśłodszym jest i najgodniejszym szacunku: pracę!

— Chcesz — powiada na zakończeniu — złożymy we dwoje małe koncylium i do kalendarza dodamy nową świętą.

— Jaką, dziaduniu?

— Świętą Igłę!

Nie posuwając się tak daleko w uwielbieniu dla narzędzia pracy najbardziej wśród kobiet rozpoznanej, mniemam jednak, że w epoce ugania się za uczonością, rehabilitacja igły ma swoją dobrą stronę, szczególnie, gdy wychodzi z pod pióra tak w prostocie swej wytwornego. Bo i to jeszcze zaznaczyć trzeba, że ze wszech miar godna uwagi praca sędziwego autora odznacza się nie tylko zdrową myślą, głębokim sądem i niepospolitą erudycją, ale jeszcze pisana jest językiem dziwnie jasnym i jedynym, wolnym od wszystkich naleciałości dekadencjonalnych i umyślnie szukanych dziwologów stylowych, jednym słowem językiem kształconym na najlepszych wzorach prozy francuskiej, co dziś taką rzadkością się staje, że zalety tej milczeniem pominąć nie wypada.

T. P.

## Z chwili bieżącej.

\* **Zarząd naszych kuchen tanich** bezustanku uczciwie się krząta około swego zadania, które prawdziwie po chrześcijańsku pojmuję i o jaknajszersze jego rozwiązanie wszelkimi stara się sposobami. Uważa on za swój obowiązek dostarczanie jaknajzdrowszej i jaknajtańszej strawy tym, którzy na nią wiele wydać nie mogą, a tym sposobem wpływ na umoralnienie tych, którzy wódkę poczytują za jedyny środek oszukania pustego żołądka.

W tym celu zarząd nie waha się narażać żelaznego poniekąd funduszu Tanich kuchen, pochodzącego z dobroczynnych zapisów. Tak uczynił niedawno, zakładając Kuchnię taną na Czerniakowskiej, dla tamtejszej ludności robotniczej; tak samo zamierza uczynić teraz, zakładając nową Kuchnię na zbiegu ulic Chmielnej, Żelaznej i Srebrnej. Wezwał już do współudziału w tem dziele okolicznych fabrykantów i zarząd kolei żelaznej Warszawsko-wiedeńskiej, jako strony najbliższej w tej sprawie interesowane. Kolej Wiedeńska odpowiedziała iż wyznacza na ten cel 500 rs., kilku przemysłowców przyrzekło również swój udział. Spodziewamy się, iż potrzebny fundusz zbierze się niebawem, a tymczasem zacnym zabiegiom życzymy: „Szczęść Boże!”

\* **Pamiętników Talleyranda** wyjdą niebawem dwa pierwsze tomy; pozostałe trzy ukażą się dopiero w jesieni. Wychodzą one pod kierunkiem księcia de Broglie, który też opatrzył je przedmową. W tej przedmowie, opublikowanej już przez niektóre dzienniki paryżskie, mieści się nieznany dotąd testament Talleyranda. O ile w samych pamiętnikach słynny dyplomata mało mówi o sobie, o tyle

testament jego jest rodzajem *orationis pro domo sua*. Broni on w nim iście kameleonowej zmienności swojej, która mu pozwalała zmieniać rządy jak rękawiczki i służyć każdemu, który był górą. Twierdzi, iż czynił to z głębokiego przekonania, że pod każdym rządem można krajowi służyć pożytecznie, i że każdy rząd upadający, dowodzi tem samem, że był zły i niestosowny dla kraju. Nasze przekonania te przekonywają tylko, że żadnych przekonań nie miał ów głośny dyplomata, który gdyby był o tyle uczciwym, o ile był zdolnym, byłby bezsprzecznie jednym z najznakomitszych ludzi na świecie.

W każdym razie Pamiętniki jego będą jedną z najciekawszych i najważniejszych dla historii ostatnich czasów publikacji.

\* **Pociągi spacerowe.** Istnieje myśl urządzenia w lecie pociągów spacerowych z Warszawy na Iwanogród, Kielce, Olkusz, Dąbrowę i z powrotem. Wybieżka taka, dająca poznać interesującą a wielu nieznaną część kraju, powinna znaleźć licznych amatorów, a projektowane pociągi mogłyby się sówicie opłacać, byle jazda niemi była o ile tylko może być jaknajtańsza. Jest to warunek *sine qua non* ich powodzenia.

\* **Teatr.** Subwencja pobierana dotąd ze skarbu przez teatr warszawski w kwocie 30,000 rs., powiększona została do 60,000 rs. Przebudowa teatru Wielkiego postępuje naprzód, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa, przedstawienia w przebudowanym gmachu nie będą mogły rozpocząć się przed jesienią.

\* **Dwa obrazy.** W dwóch salonach artystycznych mamy w tej chwili dwa olbrzymie płótna mistrzów zagranicznych: w salonie Krywulca „Bachus i Aryadna” Makarta, a w salonie Towarzystwa zachęty sztuk pięknych „Biczownicy” malarza francuskiego Karola Marra. Oba te płótna, stanowiące między sobą kontrast kolorystyczny, godne są widzenia. „Bachus i Aryadna,” obraz uznany za najlepszy z utworów przedwcześnie dla sztuki zmarłego wiedeńskiego mistrza kolorytu, imponuje bogactwem barw i bujnością kompozycji, pełnej ciepła i życia. „Biczownicy” przeciwnie, nie zalecają się kolorytem; obraz to szary i monotony, ale pierwszoplanowe postacie doskonale są postawione, a głębią ma dużo powietrza i przestrzeni.

\* **Dla niewidomych,** których pole działalności i zarobków tak jest ograniczone, otwiera się nowe zajęcie, dzięki przykładowi danemu przez Paryż. Francuzi, zważywszy że służbie przy telefonach nie tyle potrzebny jest wzrok, co słuch dobry, który to właśnie zmysł u niewidomych wysoko bywa rozwinięty, postanowili telefony swoje w znacznej części obsadzać nieszczęśliwymi, dotkniętymi strasznym kalectwem ślepoty. Spodziewać się należy, że przykład ten i w innych krajach znajdzie naśladowców.

\* **Koronowana Republikanka.** Jak dalece od bogactwa może się w głowie przewrócić, dała na sobie przykład żona głośnego milionera amerykańskiego Vanderbilta. Pani ta kazała sobie w Paryżu zrobić koronę zupełnie podobną do korony królowej Wiktorii i w stroiku tym, który ją kosztował tylko 7,500,000 franków, wystąpiła w loży na jednym z ostatnich przedstawień teatralnych w Nowym Yorku. Ta koronacja *in partibus* chybiła jednak spodziewanego efektu; rodacy koronowanej republikanki wyśmiali ją na cały głos, bez ceremonii.

\* **Małżeństwo literackie.** Wnuczka Wiktora Hugo wyszła w tych dniach za mąż, za syna znanego powieściopisarza Daudeta. To bardzo ładnie; ale to smutno, że ślub odbył się tylko cywilny, w merostwie, a jeszcze smutniej, że stało się to wskutek wyraźnej woli, wyrażonej w testamencie przez wielkiego poetę, który, jak wiadomo, pod koniec życia zdradzał pod wielu względami pewne zboczenia umysłowe. Na ślubie tym, który, jako coś niepospolicie doniosłego, wynoszą tylko Żydzi, zapominający, że sami nie znają innego ślubu tylko w bóznicy i przed rabinem, o toż na ślubie tym nie było pani Carnot, lubo zaproszonej. Pani prezydentowa za powód swej nieobecności bez ogródki podała charakter zawartego małżeństwa. Napadała na nią za to prasa radykalna i żydowska, twierdząc, że się pochlebia Popieżowi, żeby otrzymała „różę złotych.” Tak jednak nie jest; pani Carnot jest podobno

szczerze pobożną, choć to dosyć dziwnie wygląda na prezydentową republiki bezwyznaniowej.

† **S. p. Józef Szlezgier,** b. profesor, b. urzędnik kolei żelaznej Wawszawsko-wiedeńskiej, zmarł w tych dniach w wieku lat 77. Jako profesor kochany przez uczniów, jako urzędnik szanowany przez kolegów i zwierzchników, nieboszczyk był ojcem dwóch utalentowanych artystek śpiewaczek: Maryi, żonę Kamińskiej, i Józefy, która do ostatnich czasów śpiewając w operze warszawskiej, obecnie przeniosła się do Lwowa.

Szczerzy żal rodziny, krewnych, i licznych przyjaciół i kolegów towarzyszył nieboszczykowi do grobu.

\* **Z wiosną.** Znośniejsza pora, która obecnie po ciężkich tegorocznych mrozach nastąpiła, przywodzi na myśl wiosnę, a wraz z nią budzi troskę o dalsze losy niektórych robót, porzeczanych w roku zeszłym, albo i dawniej. Na pierwszym miejscu stoi tutaj rozpoczęta budowa kościoła na Pradze, na której dalsze prowadzenie prawie wcale nie ma funduszu. Spodziewać się należy, że społeczeństwo nasze nie da zmarnieć temu, co już dotąd zrobiono, i przyjdzie z pomocą komitetowi budowy; ale nie zaszkodzi przypomnieć tutaj, że jeżeli kiedy, to w podobnych razach dwa razy daje, kto prędko daje. Zwracamy też uwagę osób, któreby miały intencją uczynienia jakiegoś pobożnego datku lub legatu, że jedna świątynia skończona więcej przyniesie pożytku wiernym, aniżeli dziesięć porzeczanych, i dlatego pamięci ich polecamy przed innymi świątynią na Pradze, jako tę, której budowa znacznie już jest posunięta.

\* **Koncept angielski.** Że Anglicy swojego czasu, pojmanny Joannę d'Arc, wytoczyli jej proces i spalili ją żywcem na stosie, jako czarownicę, to, jeżeli nie usprawiedliwić, przynajmniej zrozumieć można. Zresztą Anglicy ówczesni mścili się na Joannie za upokorzenie i klęskę, jakie im zadała. Ale kiedy Anglicy ze schyłku XIX wieku postać, którą naród sąsiedni ceni jako swoją bohaterkę, biorą za temat do błazeńskiej operetki, to już jest koncept ohydny, którego im darować niepodobna. A jednak, począwszy od połowy Stycznia, w Londynie, w teatrze Opery komicznej, grywają operetkę pod tytułem „Joanna d'Arc,” na której sfabrykowanie aż trzech składało się geniuszów: pp. Shine i Ross skłóli libretto, a pan Osmond Carr podlał je sosem muzycznym.

Pokazuje się, że dobry smak i poczucie między narodowej przyzwoitości nie są przywilejem przechwalonej anglo-saskiej cywilizacji.

G. Cz.

## Odpowiedzi od redakcyi.

P. T. Z. Zapis s. p. Jana Zacharkiewicza stosuje się tylko do służących, których państwo są stałymi mieszkańcami Warszawy.

**Stałym prenumeratorkom W. C. Ż.** Niepotrzebnie sz. pani przeprasza; miło nam bowiem zawsze służyć czytelniczkom wszelkimi objaśnieniami, jakie tylko w mocy naszej leżą. W danym wypadku znajdujemy, że: 1) Karta wizytowa nie wystarcza, gdyż posyła się ją tylko w stosunkach etykietałnych, ludziom dla nas obojętnym. 2) Młoda osoba powinna napisać bilecik serdeczny, lecz nie poufały i... niezbyt długi, bo tych panowie nie lubią zazwyczaj. 3) Co do upominku, wszelkie drobiazgi własnej roboty wysyłaj oddawna z użycia. Wrazie zerwania małżeństwa — a przecież to się zdarza niekiedy — lub wranie nieaktowności narzeczonego, ośmieszają one panienkę i żenują później. Wzajemnie jednak piękny kwiat wazonowy, albo fotografia własna w ładnych ramach są drobnym, a ujmującym dowodem pamięci, na który, ze strony narzeczonej, formy najlepszego towarzystwa pozwalają.

## ZAWIADOMIENIE.

Magazyn, egzystujący od lat 25 przy ulicy Miodowej Nr 16, jak dotąd, tak i nadal prowadzę i prowadzić będę. Na liczne zapytania mojej klienteli oznajmiam, że pracownia pod taką samą firmą, mającą suknie do wynajęcia, nie miała nigdy i nie ma nic wspólnego z moim magazynem. K. Rutkowska.

Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.





# ORYGINALNE SINGERA MASZYNY DO SZYCIA

uznane zostały za najlepsze do użytku domowego i wszelkich celów rzemieślniczych. Władanie oryginalną maszyną Singera jest nadzwyczaj łatwe, oprócz tego posiadają te maszyny najdokładniejsze aparaty pomocnicze, szyją szybko i równo tak najcieńsze jak i najgrubsze materyały.

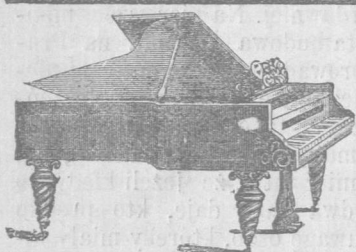
Rozwijające się ciągle ulepszenia i nowe wynalazki, jakie bywają przy oryginalnych maszynach Singera zastosowywane, czynią takowe najdokładniejszymi maszynami do szycia w świecie. Wysokoramienna Improved maszyna do szycia prześcignęła wszystkie dotychczasowe systemy.

**Przeszło 8 milionów oryginalnych Singera maszyn do szycia w użyciu! Przeszło 300 pierwszych nagród!**

**Zadatek mały. Splata tygodniowa po rs. 1. Nauka bezpłatna. Gwarancja dwuletnia.**

**G. NEIDLINGER,** Warszawa, Wierzbowa 6, własne filje w Królestwie Polskiem:

**Łódź,** ul. Piotrkowska. **Kalisz,** ul. Warszawska 11. **Kielce,** Rynek. **Rudom,** ul. Lubelska 19. **Lublin,** Krak. Przed. 177. **Łomża,** Rynek 216. **Płock,** ul. Tumski 57. **Siedlce,** ul. Warszawska 143.



Sprzedaż na  
RATY.

Największe Składy Instr. w Cesarstwie i Królestwie,

**HERMAN, CROSSMAN,**

Warszawa, Mazowiecka 16. St.-Petersburg, 33 W.-Morska.

WYNAJEM.

## KRZYSZTOF BRUN I SYN

W WARSZAWIE,

Plac Teatralny Nr 2 (466),

wyłączni ajenci na Królestwo Polskie

polecają po

**znacznie niższych cenach**  
oryginalne amerykańskie

**WYŻYMACZKI**

**Empire Wringer Co**

Auburn New-York

**Nr 3 długość walcy 10 cali, Rs. 9.**

**Nr 5 długość walcy 12 cali, Rs. 12.**



176-5-5

|                          |         |
|--------------------------|---------|
| Kapelusze żałobne od rs. | 2 k. 50 |
| Wolki krepowe            | 1 " 50  |
| Suknie żałobne           | 13 " "  |
| Suknie posmiertne        | 4 " "   |
| Kapy atlasowe            | 4 " "   |
| Czepki i pantofle        | 1 " "   |
| Trumny metalowe          | 28 " "  |
| " drewniane              | 10 " "  |
| Wieniec metalowe         | 3 " "   |
| Kompletne pogrzeby       | 25 " "  |

W WARSZAWIE  
Przedsiębiorstwo Pogrzebowe  
**Z. Fijałkowskiego,**  
Krakowskie-Przedmieście № 1 (obok koś. św. Krzyża).  
Magazyn na ulicy Senatorskiej zupełnie zwinąłem.



**Specjalna Fabryka**

Gorsetów Hygienicznych  
**Józefiny Knoff.**

Wybór gorsetów naj-  
świeższych fasonów pa-  
ryskich i we wszelkich  
gatunkach materyałów.

Obstalunki wykonywa-  
w przeciągu 24 godz. po  
cenach przystępnych.

Marszałkowska 141 (wprost Rysiej).



PIERWSZA W KRAJU FABRYKA  
Materacy z wełny drzewnej  
Kaszyński i Gadomski  
**Królewska 17,**

poleca materace płóciennę od rs. 3 drelich-  
we od rs. 4 kop. 50. 101-3-10

**GORSETY FRANCUSKIE**  
Hafty Szwajcarskie

POLECA SKŁAD NICI 19-2-6

**H. Boniczowskiej,**  
Krakowskie-Przedmieście Nr 41.

Pierwszorzędne Kaucyonowane Biuro  
NAUCZYCIELSKIE

**F. Sikorskiej,**

w Warszawie, Niecała Nr 12.

Upoważnione przez Władzę na Cesarstwo  
i Królestwo, pośredniczy w umieszczeniu na-  
uczycieli, nauczycielek i bon. 85-2-6

**!!Przemysł krajowy!!**

Rzeźbę na skórze: Herby, Monogramy i ró-  
żną Ornamentację, używaną do pokrycia me-  
bli, jako też przyjmuje zniszczone Aksamity,  
Plusze i Utrechty do odświeżania i wytłacza-  
nia pięknych deseni, na Żakietach i Paltach  
bez prucia.

Z uszanowaniem Jan Kwiatkowski,  
9-3-6 Chmielna 28, mieszk. 14.

W nowozałożonej Teoretyczno-Praktycznej  
SZKOLE RZEMIOSŁ DLA KOBIET

**Pauliny Stokowskiej,**

ulica Nowy-Świat Nr 4, w Warszawie.

Wykładane są: 1) Krawieczyna, krój Wor-  
tha. 2) Bielizniarstwo. 3) Kwaciarsstwo. 4)  
Stroje. 5) Koronkarstwo. 6) Wyroby ze skóry  
i pluszu. 7) Malowanie na porcelanie. 8) In-  
troligatorstwo. 9) Szmuklerstwo. Zadaniem  
zakładu jest powierzać wykłady tylko kom-  
pletnie fachowo uzdolnionym nauczycielkom  
i doprowadzić wykształcenie do tego stopnia,  
aby panie, po ukończeniu, mogły otwierać  
własne zakłady i z takowych mieć zapewnione  
utrzymanie. 48-4-6

PENSYONARKI PRZYJMUJĄ SIĘ.

Pracownia Sukien i Okryć damskich

przyjmuje suknie balowe, wizytowe,  
kostiumowe i okrycia, wykończając  
statkowe podług najświeższych paryz-  
kich żurnali szybko i elegancko po  
możliwie niskich cenach. Udzielam  
lekcji kroju sposobem ułatwionym.

**E. Jaworska.**

Nr 10 Maryańska Nr 10.

**LEKARZ-DENTYSTA**

**M. Silbersztein-Kamiński,**

Graniczna Nr 10, w Warszawie.

Wprawia sztuczne zęby po możliwie przy-  
stępnej cenie, leczy choroby szczęk i zębów,  
biednych bezpłatnie w Niedziele i Wtorki od  
godziny 9-ej do 11-ej. 2-3-6

Nowosć ciepłe koszule "Edison", które usu-  
wają wszelką potrzebę używania trykotów, w zu-  
życiu



pełności zastępują elegancką i wygodną dziecin-  
ną bieliznę. Filja **Nowy-Świat Nr 67.**